

WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



Wnętrze mieszkania arabskiego.

Wnętrze mieszkania arabskiego w Algeryi,

W OAZIE LAGHUAT.

Ustęp z podróży.

Wszystkie prawie mieszkania arabskie są do siebie bardzo podobne: mały czworokątny dziedzińczyk, zabudowany z trzech stron mieszkaniami, ogólny to typ siedzib tych, w których dwie lub trzy rodziny przebywają. Nizkie drzwi wiecznie otwarte, przez które wpadają promienie słoneczne, przy wschodzie i zachodzie, prowadzą do wnętrza mieszkania, składającego się z dwóch lub trzech izb, niemających okien. Panuje też tu półmrok. Ściany są czerwone, jakby napojone brudem i sadzą. Umeblowanie stanowią skrzynia, maty, war-

sztat tkacki, żarna i parę naczyń glinianych. W czasie gdy mężczyźni dni całe spędzają na drzemce poza obrębem izb, lub też na próżniactwie, kobiety są ciąglą pracą zajęte.

Wszedłszy do takiego mieszkania, na razie nic nie widzimy, lecz po chwili, gdy wzrok oswoi się z pomrokiem, spostrzegamy tuż u drzwi milczącą kobietę, która obraca żarna. Tuż w sąsiedniej izbie, w najlepiej oświetlonym miejscu, widzimy warsztat tkacki, przy którym zajęte są kobiety, tkające bez pomocy czółenka, tylko ręką, przyczem posługują się rodzajem żelaznego grzebienia, celem rozdzielania osnowy przy przeplataniu nitki. Warsztat cały jest również bardzo pierwotnej konstrukcyi. Przyrząd składa się z kawałka drzewa zaokrąglonego i przytwierdzonego do pułapu,

z warka, na który nawija się tkanina, następnie kilku prętów pomieszczonych w pośrodku. Osnowa przeciągnięta jest przez wałek u pułapu i drugi wałek tuż nad podłogą, pręciki zaś rozdzielają osnowę tak, że pomiędzy nią swobodniej nie tkacka przeciągnięta być może. Wszystkie przyrządy używane w naszym tkactwie są tu zupełnie nieznanne; a mimo tego na tych warsztatach wyrabiają burnusy i dywany różnobarwne o rysunku nader misternym. Wełnę przeznaczoną do utkania najprzód myją, następnie zaś gręplują za pomocą stale osadzonego żelaznego grzebienia na kawałku drewna. Wrzeczono zastępuje tu miejsce kądzieli lub też kołowrotka, témbardziej, że palce robotnicy dobrze spełniają czynność tych ostatnich. Po urządzeniu, wełna zostaje napojona barwą, czerwoną, żółtą, czarną lub zieloną, a po wyschnięciu staje się gotowa do roboty pięknego dywanu. W jednym z mieszkań widzieliśmy jak właśnie trzy kobiety były zajęte tkaniem barwistego dywanu. Przypatrywały się nam one z wielkiem zajęciem, lecz nie przemówiły do nas ani słowa. Tuż obok tkających jedna kobieta zajęta była gręplowaniem białej wełny.

POTEGA MODLITWY I JAŁMUŻNY.

Legend.

Modlitwa, jałmużna, dwie mocy na ziemi,
Przez które człek mocom niebieskim gwałt czyni;
Przez których zakłęcie, w tój płaczu dolinie,
Sam włada cudownie anioły Bożemi.

I śle ich z pociechą za więzień zapory,
Z niezłomną zbroicą, gdzie krwawe wrą boje;
Z pokarmem, gdzie głodny, z balsamem, gdzie chory,
I z siłą, z wytrwaniem, gdzie trudy i znoje.

Z mądrością na sądzie, z natchnieniem na wieszce,
Z opieką dla biednej sieroty i wdowy,
Z ochłodą, otuchą, gdzie ogień czyscowy,
Ze wsparciem niebieskiem każdemu i wszędzie.

Przykładów cudownych jest w księgach bez liku,
Co z modłów, z jałmużny, ma dusza i ciało!
Opowiem wam jeden o biednym górniku,
We Francyi to było, a tak się to stało:

„W kopalniach głębokich pracując z innemi,
Gdy głazy kruszcowe rwie młotem ze stali,
Urwisko okropne z łoskotem się wali,
I grzebie go żywcem wśród mrocznych podziemi.

W popłochu i zgrozie tłum pierzchnął strwożony,
I biegli druhowie ze smutną nowiną,
Do krewnych górnika, szli z płaczem do żony,
Co wdową została z sierotą dzieciną.

Płakała nieboga, płakała dni wiele,
A wierna za grobem mężowskiej pamięci,
By duszę mu wspomódz, co tydzień w kościele
Modlitwę, jałmużnę, zbawieniu jój święci.

Co tydzień, w najświętszej za zmarłe Ofierze,
Przed Maryi ołtarzem gromnica jój płonie;
Co tydzień ubóstwo chleb z ręki jój bierze,
I Bogu ją zleca w dziękczynnym poklonie.

Rok minął, a wiernie szły modły i dary,
Raz tylko, gdy trudy znękały ją mnogie,
Śród troski zabyła najświętszej Ofiary,
I z chlebem nie wyszła obdzielać ubogie.

Rok minął. Górnicy przy pracy jak wprzód,
Wstrząsają podziemia toporów ich razy,
I walą się skały skruszone na głazy,
I coraz to nowe powstają przechody.

Aż nagle głaz jeden zajęczy pod ciosem,
Jak gdyby pierś ludzka ozwała się żywa,
I niby się modli żalosnym wciąż głosem,
I niby zaklina, ratunku przyzywa.

I puszcza z rąk młoty zdumione górniki,
I wzrokiem trwożliwym powodzą dokoła;
A z głazu wciąż idą i jęki, i krzyki,
I coraz wyraźniej głos ludzki zeń woła.

Więc jeden i drugi do skały się schyli,
I ucho badawcze troskliwie przyłoży;
I na twarz tłum cały upadnie po chwili,
Bo wielki się iści przed nimi cud Boży.

Bo jęk ów pod głazem, to brata ich mowa,
Co przepadł przed rokiem w zwaliskach tój skały,
A dzisiaj dość złomek obalić ten mały,
By łup swój zwróciła ciemnica grobowa!

Do dzieła co prędnij! głaz runął... o dziwy!
Z podziemnój jaskini towarzysz ich miły,
Z radosnym okrzykiem wypada k' nim żywy,
I pełen rzeźwości, i zdrowia, i siły.

Więc biegli do wioski, do dziecka, do żony,
I tłumy się zeszły do chaty górnika.

— Zmartwychwstał! — wołają — wskrzeszony!
[wskrzeszony!]

I podziw i trwoga im duszę przenika.

I oczom nie wierzą, i każdy go pyta,
Jak wytrwał rok cały w grobowym swym sklepie,
Gdzie jasność słoneczna żrenicom zakryta,
A pokarm ni napój żywota nie krzepi?

— O bracia! — odrzecz im górnik — cud Boga,
I chlebem mię karmił, i światłem weselił.

Gdy głaz mię zwałony ze światem rozdzielił,
Gdy w oczach stanęła wybladła śmierć sroga:

Gdy piersiom, zbolałym wołaniem daremném,
Oddechu już zbrakło; gdy w grobie swym ciemnym

Szalony, chcąc skały rozwalić, pięść krwawą,
Gdy wreszcie upadam bez duszy już prawie,
I myślą ostatnią przed Bogiem się korzę;
Blask dziwny, a miły, a wdzięczny jak zorze,
Napełni mi nagle grobową jaskinię,
I w postać anielską, promienną wnet spłynie.

A ledwiem nań podniósł zdumioną żrenicę,
Już zniknął cudowny zesłaniec ów nieba:
Ujrzałem już tylko płonąca gromnicę
W otchłani mój głuchej, i spory kęs chleba.

I wielbiąc cud Boży modlitwą gorącą,
Chleb jadłem cudowny po drobnej okrusze,
By dłużej nieszczęsną utrzymać nim duszę,
I w trwodze patrzyłem na świecę niknącą...

I minął tak tydzień, jak mniemam... o Chryste!
Włożyłem już w usta ostatnią kruszynę,
Na knocie tłą jasno iskierki już mgliste...
Już gasną... i w mroku i w głodzie zaginę!

Lecz znowu w mą straszną grobową ciemnicę
Zawitał promienny zesłaniec ów z nieba,
I znowu mi przyniósł, jak wprzód, kęs chleba,
I znowu mi przyniósł płonąca gromnicę.

Rok cały tak minął, raz tylko w tym roku,
Gość drogi mię rzucił bez chleba śród mroku,
I tydzień upłynął, nim w otchłań grobową,
Z pokarmem i światłem otuchę wniósł nową.

Tak skończył, a rzeszę zdumienie i trwoga,
Jak kłosa na niwie po ziemi wiatr ściele;
Bo wszyscy to wiedzą, jak wdowa nieboga,
Co tydzień z modlitwą stawiała w kościele;

I świece Maryi przynosząc jarzące,
Pomiędzy ubóstwo dzieliła swe dary;
Jak tylko raz jeden i świętę Ofiarę
Zabyła, i chlebem obdarzyć łaknące.

Więc jęj to gromnicę przyjmując Bóg mile,
Mężowi słał w otchłań przez swoje Cheruby,
Jęj chlebem cudownie go żywił w mogile,
Ofiarą wydzwignął z ostatniej zaguby!..."

Bo szczerą jałmużną, z modlitwą wespoły,
Złożona przed Bogiem za bliźnich w ofierze,
Dotęgnie ich cudem, gdyż Bóg ją odbierze,
I pośle im w pomoc przez swoje anioły.

I znajdzie tych, za kim ofiara się czyni,
Choć nawet i ślad ich nam zginie na ziemi,
A może umarłych nam wróci żywemi,
Jak tego górnika z podziemnej jaskini.

O módlmy się, krzepmy zasiłkiem wzajemnym!
Wszak wielu grzech żywcem w przepaści nas grzebie,
Modlitwę, ofiarę, policzy Bóg w niebie,
I pokarm łaknącym, i światło da ciemnym.

Adam Plug.

MAŁY HRABIA,

przez *Guidę*,
przekład z angielskiego.

(Dokończenie).

Dobra gospodyni zabrała się do cerowania
pończoch, i cicho siedziała; Gruby Jerzy miał
czasem zwyczaj popierać swoje dowodzenia kuła-
kiem, a nawet kijem.

Tymczasem mały hrabia w kurniku był tak
głodny, że wypił mleko, i zjadł chleb z serem. Ser
był twardy, a chleb nie tak delikatny jak ten, któ-
ry zwykle jadał; ale był on teraz głodny, jak chło-
piec spotkany z rana, któremu tak smakowała
rzepa; inny jeszcze powód dodawał Bertusiowi ape-
tytu.

W chwili, gdy się zabierał do wypicia mleka,
ze słomy wyskoczyło stworzenie okrągłe, w czarne
i białe centki, niebardzo dobrze trzymające się na
nogach, i mające płaski i szeroki nos, i puszyste
futerko. Księżyc zaczynał świecić i zaglądał przez
okno; promienie jego ukazały chłopczynie, że no-
we zjawisko było to duże kilkomiesięczne szczenię.
Z jaką radością je ujrzał, trudno wypowiedzieć.
Zapach jedzenia zbudził pieska ze snu, i Bertus
znalazł w nim miłego, serdecznego towarzysza.
Wprawdzie wyrwał mu chleb z ręki, i łeb swój
wpakował w mleko, ale Bertus rad był, że miał
z kim się podzielić, i z radości aż się rozplakał.

Nie czuł się samotnym od chwili, gdy grube,
ruchliwe, pełne życia szczeniátko, dzieliło jego
niedolę. Przytulał je do siebie, całował, a piesek
daleko czuliej odpowiadał na jego pieszczoty, niż
dziecko w chałupie Johna Brackena. Nareszcie,
pomimo zakrwawionych nóg i wielkiego zmęczenia,
Bertus usnął, oparłszy głowę o miękką sierść pie-
ska.

Gdy się obudził, nie mógł sobie przypomnieć,
co się z nim stało. Zawołał na Debore, ale żadna
Debora nie odpowiedziała. Księżyc w pełni oświe-
cał ciemną komórkę i dziwaczne kształty kur, sto-
jących na jednej nodze i podobnych do kul pie-
rzastych.

Chłopczyk przytulił lepiej jeszcze do siebie za-
spane szczenię, i pierwszy raz w życiu uczuł trwo-
gę rzeczywistą.

— Nigdy nie tknąłem żadnego bażanta — za-
wołał, jak mógł najgłośniej — Nazywam się lord
Avilien. Nie macie prawa mnie tu zatrzymywać.
Puśćcie mnie, puśćcie mnie!

Kury się pobudziły i zaczęły gdakać i pisać,
a biedne szczeniátko żałośnie zawyłło i zaszczekało,
ale inną odpowiedzi Bertus nie otrzymał.

Wszyscy spali w chałupie, prócz samego Grubego Jerzego, który ze strzelbą i psami znów poszedł do lasu.

W domu, w pięknym łóżeczku, wykładanym srebrem i kością słoniową, Bertus, po przebudzeniu, widział zawsze łagodne światło palące się w porcelanowej lampie. Debora była przy nim, a Ralf leżał na macie pod drzwiami. Nigdy nie znalazł się sam wśród ciemności, a teraz słyszał, jak różne niewidzialne stworzenia poruszały się w słomie, i bał się jasnych promieni księżycowych, przesuwających się po ścianach i oświecających wielkiego koguta kochinchińskiego, który wystraszonem jego oczom wydawał się podobnym do olbrzymiego jastrzębia. Szczur przebiegł, kury wyłękłe zapiały, i Bertus razem z nimi krzyknął z przerażenia; po chwili zawstydził się swego postępowania i pomyślał:

— Szczur jest także stworzeniem Bożem, a skoro nic złego nie zrobiłem, Pan Bóg nie pozwoli, żeby mi się coś złego stało.

Jednak noc ta była straszną dla niego. Gdyby nie szczeniak, Bertus byłby może ze strachu się rozchorował, ale obecność pieska tak go pocieszała i uspokajała, że jakkolwiek z trudnością, mały Hrabia potrafił przezwyciężyć trwogę, która go opanowała w miarę, jak godziny mijały, i księżyc zaszedł i noc ciemna, czarna, wszystko okryła, jak-gdyby olbrzym jaki otulał go w fałdy ciężkiego czarodziejskiego płaszcza.

Szczenie niedawno było od matki odłączone; dzieci gajowego cały dzień je męczyły i straszyły; piszczalo więc i skomlało, tuląc się do małego hrabiego, który je ścisnął i całował; i nie tak się czuł osamotniony i opuszczony.

Różne myśli i obawy napastowały go wśród tych długich, ciemnych, przykrych godzin; wyobraźnia przedstawiała mu żywo wszystko, co kiedykolwiek, w historii i bajkach, czytał o strasznych lochach, zaczarowanych zamkach, uwięzionych książętach, o księciu Arturze, zamordowanym z rozkazu wuja, o zagłodzonym szkockim księciu Rothsay, o więźniu z Chillonu, o Żelaznej Masce; postaci bohaterów, męczenników, przesunęły się przed nim wśród niezliczonych wspomnień, jak krwawe widma.

Ale były to tylko przemijające chwile, w których ulegał słabości; gdy tulił do siebie pieska, i czuł, jak ten serdecznie lizał mu twarz i ręce, odzyskiwał odwagę, i myślał sobie, że Gruby Jerzy był tylko gajowym, a nie okrutnym olbrzymem, czarownikiem, lub tyranem z Rzymu lub Syrakuzy.

Po długiej bezsenności, zamknął znów oczy, ale we śnie nawet czuł, jak go wszystkie członki bolały; okropne widzenia snuły się przed jego

oczyma, tak samo, jak na jawie, i nie spostrzegł, jak w końcu straszna ta noc się skończyła.

Gdy się przebudził, szarawe światło napełniało kurnik, i usłyszał głośnie ranne powitanie dużego koguta.

Pierwszy brzask jutrzeńki się ukazywał na niebie.

Duża, czerwona twarz pojawiła się w okienku, i głos żony gajowego dał się słyszeć:

— Paniczu, Gruby Jerzy przyjdzie po ciebie o ósmiej, i źle wtedy będzie z tobą. Powiedz więc, że to nie ty złapałeś ptaka.

— Nie, nie ja — rzekł obojętnie Bertus, który leżał rozciągnięty na słomie; zimno mu było, członki jego były zeszywniałe, i czuł się bardzo nieszczęśliwym.

— Ale wiesz, kto to zrobił, — ciągnęła dalej kobieta. — Powiedz mi więc, kto zabił bażanta, a ja wszystko ułożę z Jerzym; on cię wypuści, ja dam ci śniadanie, a potem odwieziemy cię do domu na naszym osle.

Mały hrabia milczał.

— Co to za upor! nie cierpię upartych dzieci, — powiedziała z gniewem kobieta. — Kto zabił tego ptaka? powiedz tylko tyle, i nic więcej, to przecie niewiele.

— Nie powiem tego, — powiedział Bertus, i kobieta zamknęła z trzaskiem drewnianą okienicę, nazwała go mułem i kozłem upartym, powiedziała, że nie myśli na próżno czasu z nim trafić, i że wypuści drób przez kratę. To co nazywała kratą, to jest dwie ruchome drewniane zapory, w samą rzecz się rozsunęły, i kury z pośpiechem zaczęły się przeciskać przez ciasny otwór, chcąc jak najprędzej się dostać na świat Boży i zbierać rozrzucony poślad, a wspaniały kogut z trudnością przeszedł za nimi.

— Pieskowi się jeść chce — powiedział nieśmiało Bertus.

— Niech lichu porwie szczeniaka! — zawołała kobieta, która litości już żadnej nie miała.

Mały hrabia czuł się bardzo osłabionym, odurzonym, i był jakby w gorączce.

— O, kochany piesku! — zawołał z płaczem, — co to za noc była straszna.

Ale ani na chwilę nie pomyślał o okupieniu wolności wydaniem małego winowajcy, brata chorągwi Zuzi.

Znów kilka godzin upłynęło, powoli, smutnie, jednostajnie; piesek piszczal za matką, a wróble, gnieźdzące się na dachu, pośpiewywały podlatując.

— Zapewne chcą mnie na śmierć zagłodzić, — myślał Bertus, przypominając sobie straszny koniec księcia Rothsay.

Usłyszał nareszcie ciężkie kroki Grubego Je-

rzego, donośny jego głos, bieganie dzieci i gdakanie kur. Wtedy mały hrabia przypomniał sobie, że przodkowie jego byli odważni i wytrzymali i że powinien się okazać godnym ich potomkiem. Powstał, i chociaż zaledwie mógł się na nogach utrzymać, wyprostował się, poprawił ubiór, i starał się nie okazywać trwogi.

Drzwi otworzyły się gwałtownie, i gruby gajowy się w nich ukazał.

— Chodź, hultaju! — zawołał — chodź; dostaniesz to, na co zasłużyłeś, to jest porządnie w skórę, i posiedzisz miesiąc o chlebie i wodzie, a gdyby to odemnie zależało, rokby cię tam po-trzymali.

Bertuś wyprostował się na drżących nóżkach, i dumnie poszedł ku niemu, szczenię potoczyło się za nim.

— Nie trzeba być tak złym i okrutnym — powiedział, — pójdę z tobą, ale trzeba pieskowi dać trochę mleka.

Gruby Jerzy chwycił chłopczyka za suknie i rzucił go do zaprzęzonego wózka, który stał przed domem. Zaklął i powiedział:

— Nie widziałem nigdy podobnego zuchwalstwa; ale wszystkie te dzieciśka Radleya są podobne do siebie; wszystkie nędzne i mizerne, ale wy-gadać się umieją.

Bertuś, osłabiony i odurzony, padł na dno wózka, potrafił jednak zawołać do kobiety, która stała na progu:

— Proszę dać jeść pieskowi; całą noc był taki głodny.

— To nie jest prosty chłopak wiejski, — powiedziała żona gajowego do najstarszej córki, patrząc za odjeżdżającym wózkiem. — Tylko dziecko z porządnego domu może tak pamiętać o szczeniaku. Boję się, że ojciec ściągnie na siebie jaką biedę swoją gwałtownością.

Ćwierć milki było tylko od chałupy gajowego do zamku sir Henryka, do którego należała bażantarnia. Konik biegł szybko, a Gruby Jerzy, paląc fajkę, ani razu nie raczył się odwrócić i spojrzeć na swoje ofiarę.

— Znowu nam małego złodzieja przywozicie, panie Jerzy — powiedziała żona odźwiernego, otwierając bramę, a Gruby Jerzy odpowiedział z zadowoleniem:

— Tak, tak, złapałem nareszcie jednego z tego złodziejskiego rodu Radleyów, i to razem z ptakiem i z potrzaskiem. Czy nie udało mi się?

— Dzięki waszej czujności, Panie Jerzy, — powiedziała odźwierna — ale cóż to za maleństwo!

Gruby Jerzy zaciął konia z miną człowieka, znającego swą wartość, i wózek po chwili zatrzy-

mał się przed wspaniałymi schodami pałacu w włoskim stylu.

— Muszę zaraz się widzieć z sir Henrykiem; schwytałem złodzieja, — powiedział gajowy do służącego, stojącego u wejścia.

— Tak, panie Jerzy. Sir Henryk kazał was zaraz wprowadzić. Chodźcie tędy.

Gruby Jerzy chciał wysadzić małego hrabiego i wyszturchać go przyciem tak samo, jak przy wsadzeniu go do wózka, ale Bertuś, chociaż w głowie mu się kręciło, i bosa nóżka bardzo go bolała, sam wysiadł i chwiejąc się wszedł na ganek.

— To chłopak od Radleyów, — powiedział Gruby Jerzy, dumny ze swęj zdobyczy — Całą zimę i wiosnę uganiałem się za tymi niegodziwymi chłopakami, i nareszcie złapałem jednego.

— Sir Henryk czeka! — powiedział służący, i Gruby Jerzy, popychając przed sobą więźnia, wszedł do dużej, pięknej biblioteki. Przy wielkim stole, stojącym na środku, siedział niemłody mężczyzna, przyjemnej powierzchowności.

Gdy się gajowy znalazł w obecności swego pana, dziwnęj uległ przemianie; z dumnego i wyzywającego stał się pokornym i uniżonym, i skromnie położył niezwygłego bażanta i potrzask przed nim na stole.

— Schwytałem go na gorącym uczynku, sir Henryku — powiedział z uszanowaniem, wśród którego przebiegała дума; — od dawna go szukałem; jest to jeden z tych nicponiów Radleyów, całą zimę kradł nam zwierzyne, ale go mamy nareszcie.

— Jaki mały! toż to dziecko jeszcze — powiedział sir Henryk, przypatrując się winowajcy.

— Takie to złością przesiąknięte, że urość nie może, — powiedział z największą pewnością siebie Gruby Jerzy — ale stary on już i zatwardziały w złém.

Bertuś nareszcie potrafił wysunąć się naprzód, i podniósł słabiuchny głosik:

— On się omylił, — powiedział — nie zabiłem żadnego ptaka i nazywam się lord Avilien.

— Wielki Boże! — zawołał sir Henryk, zrywając się na równe nogi — Ty głupcze! to jest mały hrabia, którego szukają po całej wyspie. Moje drogie dziecko, jakże potrafię...

Urwał nagle, bo Bertuś osłabiony głodem, zimnem, zmęczeniem, padł u nóg jego, jakby bez życia.

Niezdługo jednak cała służba, zwolana gwałtownem dzwonieniem pana domu, przywróciła przytomność małemu hrabiemu.

— Proszę pana nie gniewać się na tego człowieka, — wyszeptał Bertuś, leżący na wygodnej sofie. — On tylko chciał spełnić swój obowiązek... i czy nie mógłbym kupić tego pieska?

Sir Henryk naturalnie nie pozwolił już małemu hrabiemu wędrować samemu, i wyprawił w tej chwili konnego posłańca, aby uspokoić krewnych i domowników, wprowadzonych w błąd przez chłopaka, który go czołnem przewiózł, i który, przestraszony udziałem, jaki miał w ucieczce panicza, zaklinał się na wszystko, że widział jak Lord Avilien popłynął w inną zupełnie stronę i na inną łódce.

Bardzo szybko więc Bertus utracił tak niedawno pozyskaną swobodę, i smutno i pokornie przechadzał się w ogrodzie sir Henryka, pełnym róż kwitnących, oczekując na przybycie babki. Sprowadzono mu natychmiast małego pieska, który się poważnie za nim toczył. Chłopczyk był smutny troszkę i zamyślony.

— O czém tak myślisz, moje dziecko? — zapytał sir Henryk, który był bardzo dobry i uprzejmy.

Usta chłopczyny zadrżały.

— Widzę, — powiedział po chwili wahania — widzę, że jestem niczém. Tytuł, który noszę i majątek, jaki posiadam, sprawiają jedynie, że wszyscy są tak dobrzy dla mnie. Gdy widzą we mnie tylko moję osobę, inaczej się ze mną obchodzą.

I łzy potoczyły się po jego bladej twarzyczce.

— Mój drogi chłopczyku, — powiedział łagodnie sir Henryk — każdy z nas dożyć musi tej chwili, w której królowie nawet są ogołoceni z całego majestatu i pozbawieni wszystkich bogactw i dostojenstw; wtedy, nie to czém byli, lecz to, co uczynili, zjedna im łaskę i miłosierdzie, i nowém życiem ich obdarzy.

— Ale ja jestem niczém, — powiedział Bertus żałośnie, — i ludzie, gdy nie wiedzą, jak się nazywam, mają mnie za nic.

— Nie zdaje mi się, żeby tak było naprawdę. Zapytamy tych biednych dzieci, którym ofiarowałeś swoje obuwie. Wszyscy sami przez się nic nie znaczymy, moje dziecko — ciągnął dalej sir Henryk — tylko czasami zrywamy po drodze gałązkę owęj szarzej, niepozornej, ale tak wonnej roślinki, zwanęj lawendą, to jest uczynimy coś dobrego, lub powiemy pocziwe słowo, i woń miłą unosimy z sobą. Ty w twojem życiu, jeżeli się nie mylę, sporą wiązanek owęj lawendy zbierzesz.

— Będę się starał oto — rzekł Bertus, który zrozumiał te słowa.

I tak na zielonych wybrzeżach, i wśród cichych lasów ślicznej wysepki, Bertus owego dnia zerwał dwie gałązki lawendy: pokorę i przyjaźń ludzką, a wiercie mi, więcej one warte od wszystkich skarbów tego świata.

ZE WSPOMNIENIŃ DZIECIĘCYCH WŁODZIA T...

(Dalszy ciąg.)

Pamiętam święto wielkie w Lublinie, tłumy zebrane w katedrze... ksiądz biskup Walenty Baranowski, ubrany w fiolety, potężnym swym głosem przemawia do ludu. To był chrzest i zawieszenie na trynitarzkiej wieży nowego dzwonu, Gabryelem go nazwano.

U stóp katedry, w ogrodzie, wznosi się dom piętrowy, pałacem biskupim zwany, tam bywaliśmy z ojcem, który osobiście znał księdza biskupa, przez brata jego, ociemniałego astronoma, którego leczył. Biskup był dobrym dla nas, rozmawiał z nami, dawał nam obrazki, mam do dziś tę pamiątkę. Pokazywał nam pień dębu, pod którym odpoczywał Leszek Czarny, przed swą wyprawą na Jadźwingów. Pamiątka ta przechowywaną była pod ołtarzem w kościele Ś-go Michała, po którym dziś śladu nie zostało.

Wiele pamiętam ciekawych szczegółów o kościołach i niektórych gmachach Lublina, gdyż ojciec mój, sam miłośnik dawnych pamiątek, przyjaźnił się z Wł. K. Zielińskim, autorem wyczerpującej monografii Lublina, dedykowanej ojcu 1878 roku; często też z nami pouczające odbywał wycieczki, ucząc nas poznawać i kochać gród ten stary. Ale co prawda brak mi odwagi tu w tych moich pobieżnych, niedołężnie skreślonych wspomnieniach, wchodzić w opisy naukowe, które mogłyby być niewystarczającymi.

Brat biskupa, znany astronom warszawski, Jan Baranowski, 80 letni, prawie zupełnie ociemniały starzec, miał wielką słabość do hodowania gołębi; posiadał rozmaite okazy i gatunki rzadkie; pielęgnował je i był przywiązany tak do tego ptactwa, iż zawsze się zarzekał, że nigdy nie byłby w stanie popełnić takiego barbarzyństwa, aby mógł skosztować którego ze swych ulubieńców. Ksiądz biskup zaś, w celu przerzedzenia pierzastej gromadki, regularnie trzy razy na tydzień raczył brata i swych gości półmiskiem tłuszcuchnych gołąbków, które szanowny amator ze smakiem zjadał w przekonaniu, że to zwyczajne kurczątki. Jan Baranowski swoim kosztem urządził na placu Bernardyńskim piękny kompas. Obaj bracia jednocześnie prawie umarli r. 1879 i obaj są pogrzebani w jednym grobowcu na cmentarzu w Lublinie „na Rurach”, powązkach lubelskich.

Piękny to, rozległy i ładnie utrzymany ogród, ten smutny przybytek umarłych, to miasto pięknych pomników, wspaniałych obelisków, czarnych smutnych krzyżów i śnieżnych, białych krzyżyków, co dziecinnych strzegą grobów. Jak tam

cicho, spokojnie... jak smutno na tym cmentarzu, gdzie każdy z mieszkańców Lublina, nieuniknioną losu kolejną, odprowadził na wieczny sen kogoś z drogich sercu swemu... I my tam mamy biały domek mały z kamiennym takimże krzyżykiem, białymi otoczony sztachetami; tam złożyliśmy w niebieskiej trumience złotowłosego aniołka, Olesia, braciszka naszego... Już miał rok i trzy miesiące... zdrow był, jak rybka, różowy, jak jabłuszko; żywe niebieskie oczki śmiały mu się wesoło, buzia śliczna składała się do uśmiechu; włoski mu się wiły tak ślicznie! już chodził maleńki i mówić zaczynał, i bawić się z nami umiał... żywy był, a dobry, spokojny taki! Przyszła straszna choroba, szkarlatyna z dyfterytem i zabiła nam naszego braciszka... Ubrali go w długą białą sukienkę, dali obrazek do rączki... w niebieską włożyli trumienkę i na cmentarzu złożyli... było to w Listopadzie a wiosną przy białym krzyżu mama płaczącą wierzbę posadziła i kwiatów wiele... Odtąd tam przychodziliśmy z rodzicami często wspominać naszego Olesia. Na krzyżu stoi napis: *Aniołku, módl się za nami!...*

Ileż to tam miejsc było w tym moim kochanym Lublinie, gdzie można było całą pierś odetchnąć, napić się widokiem drzew, zieloności, kwiatów i zapomnieć o murach, o bruku, i gwarze miejskim... Wracając ze cmentarza długą, lipami wysadzoną aleją, wychodzi się na Krakowskie Przedmieście niedaleko rogatki; dążąc zaś Krakowskim Przedmieściem ku miastu, za żelaznymi sztachetami, na tle olbrzymich lip i kasztanów, wznosi się biały kościółek Ewangelicki, wysmukłą wieżą strzelający w obłoki. Wieża ta jest srebrzystą blachą pokryta i dziwnie pięknie mieni się na słońcu. Od sztachet i bramy do kościołka prowadzi szeroka, wyżyrowana, żółtym piaskiem wysypana droga, dalej sad owocowy, przy kościółku wśród drzew stary cmentarz, pomniki i krzyże dawne, po drugiej stronie kościoła aleja wspaniała i mur, zamykający probostwo.

Naprzeciw kościoła umieszczona furtka prowadzi do stojącego wśród pięknych klombików kwiatowych, na tle również zielonych drzew owocowych, staroświeckiego domku ślicznego, jak na obrazku, z gankiem na czterech słupach opartym i zawsze dla nas gościnnie otwartymi drzwiami. W domku tym mieszka zacny, powszechnie szanowany i lubiany pastor staruszek, Karol Jonscher z rodziną. Cóż to za postać patryarchalna, ten starzec o czerstwym uśmiechniętym obliczu, z oczami pełnymi dobroci, ze śnieżnym włosiem nad wysokim czołem, z dobrą, dowcipną mową na ustach! kochał nas wszystkich i serdecznym zawsze witał uśmiechem; ze mną szczególniej

lubił rozmawiać i bawił się nieraz jak dziecko. W drodze łaski pozwalał przebywać w swojej kancelarii; ale raz niebacznie nadużyłem tego zaufania, gospodarząc na biurku, pieczęcią kościelną potrzebne popieczętowałem papiery. O! wtedy źle było!... powtarzając ulubione swe przysłowie: „widzę ja cię, widzę”, gniewał się pan pastor tak, że nie na żarty stchórzył... ale to przeszło, bo dobrym był dla nas jak anioł.

Najlepszy Polak, kochał ziemię naszą i w tej miłości dzieci wychował; przytém, spełniając święcie obowiązki swego powołania, nie miał żadnych uprzedzeń do innych wyznań; z biskupem Baranowskim serdeczna łączyła ich przyjaźń, za młodu kolegowali na uniwersytecie Aleksandryjskim.

Myśmy go kochali i czcili, jak dziadka rodzonnego, spacer na plebania największą był dla nas przyjemnością, bo też tam pobiegać gdzie było, na sianie zręczne wywracać koziółki, smacznych najeść się owoców i huścić się można było. Po prawej stronie domu, w kwiatowym ogródku, stał stuletni kasztan rozłożysty, pod jego cieniem stół kamienny; na gałęziach tego olbrzymiego drzewa kazał dobry pastor dla nas zawiesić huśtawkę, to też bawiliśmy się tam rozkosznie. Wskoczywszy na stół, można było chwycić się gałęzi, zręcznie wdrapać na drzewa, zielonych naobrywać kasztanów i czasami skryć się wśród gęstych liści na długo przed Kaziem i Zosią!... Pieska mieliśmy tam do zabawy, co się Kukusiem nazywał; mały pinczerek, mądre i miłe to było zwierzątko. Był tam i straszny pies na łańcuchu, co się Lew nazywał; o 9-jej już się furty zamykały, a Lew z łańcucha spuszczał, by samotnego stróżować domku... Pamiętam, że pierwszą naszą próbą niemieckiego języka było powinszowanie dla pastora. Mieliśmy pocztówką Niemkę Zuzannę, którąśmy „Fräulein” nazywali, ona to z wielkim trudem nauczyła nas wszystkich kilku słów, które każde z nas z osobna, bez żadnej zmiany, wygłosiło patetycznym tonem: „Hoch geehrter Herr Pastor! Ich wünsche Ihnen Gottes Segen, langes Leben, viel Glück und Geld”... To prawdziwie było zabawne, jak tak każde z nas występowało z poważną miną i z tępym przekonaniem, że daje dowód wielkich lingwistycznych wiadomości!...

Mówiąc o plebanii i pastarze, trudno nie wspomnieć o jego córce Zofii, która była życiem, duszą, tego domu. Ona to z wysokim zamiłowaniem i umiejętnością, własnoręcznie prawie, z artystycznym smakiem urządziła ogródek, ulubione pielęgnowała kwiatki, w domu wzorowy utrzymywała porządek, osładzając starość ojca pogodą i weselem. Miłej bardzo powierzchowności, z czarnym, lśnią-

cym włosem, czerstwa, rumiana, z czarnemi, tryskającymi dowcipem oczyma, z uśmiechem na ustach, była ona osobą wysoce wykształconą i pełną poświęcenia córką dla ojca, i siostrą dla braci, którym nieżyjącą zastępowała matkę; zapominając o sobie, o swęj przyszłości, żyła szczęściem ukochanych... Kolejno wszystkie starsze córki i synowie pastora rozpięchli się po świecie, jedna Zosia została, słodząc dni ojca swoim uśmiechem.

O! jakże tam dobrze, jak miło, jak zawsze było wesoło! Mama prawdziwie kochała p. Zofię i była z nią w wielkiej przyjaźni. Pana pastora szanowała, jak ojca, z stosunku tego wywiązało się w przyszłości powinowactwo nawet, bo siostrzenica mamy wyszła za mąż za siostrzeńca pastora.

Minęły jednak dni swobody i szczęścia dla cichęj plebanii... tu się widocznie okazało, że Bóg wybranych swoich nieraz ciężko dotyka na ziemi... Chroniczne ciężkie cierpienie dotknęło kochaną, dobrą Zosię, niezłamawszy jęj jednak. Bohatersko znosiła męczarnie, siłąc się na dawny uśmiech pogodny, który stał się starego ojca potrzebą *)... Tyle słów poświęcam wspomnieniu drogiego dla nas ustronia, które zawsze odwiedzamy, ile razy jesteśmy w Lublinie.

(D. c. n.).

ZAMEK W NIEŚWIEŻU.

Starożytna ta siedziba książąt Radziwiłłów opisana jest bardzo obszernie w Starożytnej Polsce Balińskiego. Przytaczamy tu niektóre ustępy z tego opisu.

„Nieśwież, miasto główne ordynacyi tegoż nazwiska domu książęcego Radziwiłłów, z wielkim zamkiem, gdzie jest zwykły pobyt ordynatów, opasane wałem i w znacznej części dobrze zamurowane, a wielu pięknymi gmachami kościelnymi ozdobne. Zamek, chociaż stylem budownictwa nie zalecający się, dla rozległości jednakże murów swoich, trzema wieżami podniesionych, ściągający uwagę, leży obok miasta, obwarowany wałami

i oblany stawami, do rzeki Uszy uchodzącymi, a z miastem groblą tylko jest połączony.

Pierwsza wzmianka o Nieświeżu znajduje się u latopisów ruskich pod rokiem 1224, w którym Jerzy, książę nieświezki, poległ w bitwie z Tatarami. Dawna to była osada pogranicznych Litwie Słowian, żyjących pod naczelnictwem swoich książąt, którzy z razu potężniejszym władcom w Kijowie, Haliczu, lub Włodzimierzu Wołyńskim podlegali, a może nawet do Mińskiego księstwa należeli, potem zaś w pierwszej połowie XIII wieku stali się poddany mi książąt litewskich. W r. 1388, w chwili pierwszego skojarzenia się Litwy z Polską, Grzegorz i Jan, książęta nieświezcy, należący do zwierzchności Dymitra Korybuta, panującego w Nowogrodzie Siewierskim, przyłożyli swe pieczęci razem z innymi bojarami tegoż księstwa do pisma, zapewniającego za siebie i za swego władcę wierność Władysławowi Jagielle i królowej Jadwidze.

Około roku 1430 siedział na nieświezkiej dzielnicy, dość szeroko się rozciągającej, Fedko, czyli Teodor, ze krwi książąt litewskich pochodzący. Niewiadomo kiedy jego plemię wygasło, to tylko pewna, że Nieśwież w wieku XV stał się własnością potężnego na Litwie domu Kiszaków; całe zaś księstwo, wraz z Ołyką i połową Łachwy, dostało się ostatecznie około roku 1533 Radziwiłłom, po zmarłej w tym roku Annie Kiszczance, wojewodziance trockiej, trzeciej żonie Jana Brodacza Radziwiłła, kasztelana trockiego, marszałka W. Litewskiego. Syn jego Mikołaj, zwany Czarnym, wojewoda wileński, marszałek i kanclerz W. Litewski, otrzymawszy w r. 1548 od cesarza Karola V przywilej na tytuł książęcy, pierwszy zaczął się pisać księciem na Olyce i Nieświeżu.

W owej epoce Nieśwież był miastem drewnianym, dzielącym się na stare i nowe, a mieszkańcy jego składali się z chrześcijan rolników albo sług książęcych i żydów kupujących z głębszą Rusią. Opodal miasta wznosił się zamek drewniany, może w części murowany, w którym na mocy przywileju Zygmunta Augusta, danego w Wilnie Radziwiłłowi Czarnemu w r. 1551 złożone było archiwum głównych przywilejów, W. księstwu litewskiemu służących. Wśród miasta stał kościół parafialny katolicki Ś-go Ducha, przez Kiszaków zapewne fundowany i cerkiew grecka starożytna.

Radziwiłł Czarny, przyjąwszy wyznanie kalwińskie, kościół ów farny współwyznawcom swoim oddał. Po śmierci Mikołaja Radziwiłła Czarnego Nieśwież stał się znów ogniskiem arianizmu, aż dopóki syn tego Radziwiłła, Mikołaj Krzysztof, Sierotką przezwany, nie powrócił na łono kościoła katolickiego. Wszakże i on, pomimo całej żarli-

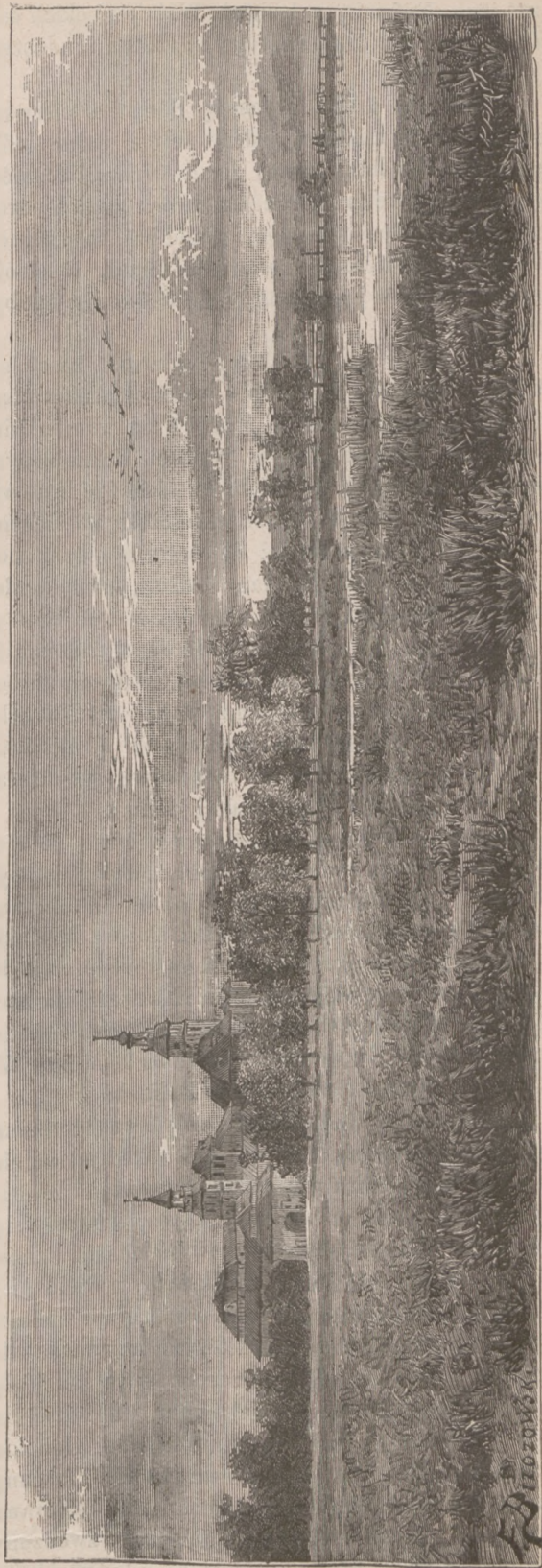
*) P. Zofia Wanda Jonsherówna zasnęła w Bogu d. 7 Marca r. b. o godzinie 6-jej; promienie zachodzącego słońca po raz ostatni oświeciły konającą. Mój Boże, jak się to zmienia człowiek po śmierci! Zamiast wiecznie uśmiechniętego, rumianego oblicza, zobaczyłem w trumnie wymizerowaną, trupio bladą twarz. Oby jęj ziemia była lekka, a grób długo zdobiły kwiaty, które tak namiętnie kochała! Sędziwy, pochylony wiekiem i złamany bólem ojciec pozostaje na swem stanowisku pastora, które godnie piastował przez lat 46, ale biedny, bo osamotniony... *usque ad finem!* Pociesza się nadzieją, że opiekunicy jego anioł uleciał z tego padołu w krainę, gdzie bólu więcej nie dozna!...

wości nowonawróconego, nie zaraz się zajął sprawami religijnymi swojej okolicy rodzinnej. Podróże, zatrudnienia publiczne, wyprawy wojenne i na koniec pielgrzymka do ziemi Ś-tój, wielką część jego męzkich lat zajęły. Dopiero w r. 1585, po powrocie z Jerozolimy, osiadłszy w Nieświeżu, czynnie się urządzeniu swoich majątności i podniesieniu miasta poświęcił. Najprzód 8-go Maja tego roku położył pierwsze fundamenta zamku nieświeżkiego, jako przyszłej kolebki swojego plemienia. Potém kościół farny oddał Jezuitom, którym wymurował przy nim obszerne kolegium i darem majątności Lipska z ośmiu wsiami wieczyscie opatrzył. Następnie poprawa stanu miasta stała się celem jego usiłowań. Sprowadzeni przez księcia z kraju i z zagranicy doskonali rzemieślnicy, osiadający w Nieświeżu gromadnie kupcy, potrzebowali zapewnienia gruntowniejszego ich bytu i opieki, bardziej zastosowanego do ich losu prawa. Umiejąc to ocenić, oświecony dziedzic udał się do króla Stefana z prośbą o nadanie praw magdeburskich Nieświeżowi i gotowy projekt mu przedstawił. Jakoż wyszedł 23 Kwietnia r. 1586 w Grodnie podpisany przywilej Batorego dla Nieświeża”.

Tu następuje szczegółowy opis przywilejów, nadanych Nieświeżowi przez króla Stefana i księcia Radziwiłła Sierotkę, dziedzica. Dalej znów pisze Baliński:

„Tak więc książę Mikołaj Krzysztof stał się drugim fundatorem niejako i odnowicielem Nieświeża; on założył zamek, na którym już wymienione przywileje podpisał, obwarowywać zaczął miasto, zbudował i uposażył szkołę i szpital. Prócz tego za orędownictwem księcia utworzone zostało bractwo miłosierdzia, bo Sierotka, prócz właściwej sobie rządności, miał serce tkliwe na nędzę bliźniego i skory do wspierania nieszczęśliwych, zwykł był mawiać nieraz: Niech mnie nie zowią Radziwiłł, ale *Rad żywił*.

Krół Stefan, zatwierdzając rozporządzenia Ks. Mikołaja Krzysztofa, nadał miastu herb, czyli pieczęć, mającą wyobrażać z jednej strony na tarczy połowicę orła czarnego, jakby wzdłuż przeciętego, z zupełną głową, z drugiej zaś dziesięć zrębów krzywo wyniosłych, błękitną, czerwoną i żółtą farbą na przemian malowanych. Wkrótce potém Nieśwież, tak podnoszący się w budowach i swobodach swoich, stał się główném miastem ordynacyi. Trzy znakomite fundacye kościelne powstały w Nieświeżu za czasów tego pierwszego i znakomitego ordynata. On sam wymurował najprzód Jezuitom wspaniałą świątynię w stylu korynckim i w kształcie krzyża z kopułą r. 1589, którą aż w r. 1601 konsekrowano, a w r. 1590 ufundował kościół Ś-jej



Zamek nieświeżki (str. 184).

Eufemii z klasztorem Benedyktynek, gdzie się znajdują grobowce dwóch córek Sierotki. Żona zaś jego Eufemia z książąt Wiśniowieckich osadziła konwent Bernardynów r. 1598 i funduszem go opatrzyła.

Zdaje się także, iż książę Sierotka pierwszy zbudował za miastem, gdzie potem pałac *Alba* powstał, dom letni, zwany *Eremitorium*. Wzniósł on alabastrowe grobowce dla dwóch swoich córek w kościele Benedyktynek, siebie zaś w sklepach kościoła Jezuickiego pogrześć kazał, w stroju pielgrzymim, w jakim podróż do Jerozolimy odbywał.

Najstarszy syn jego Jerzy Radziwiłł, kasztelan trocki, używając dostatków przez ojca nagromadzonych, przyjmował w r. 1617 na zamku nieświeżkim, już otoczonym wałami i osadzonym armatą, idącego z wojskiem ku Moskwie królewicza Władysława. Jeden ze współczesnych, obecny temu przyjęciu, powiada: że cechy wyszły z chorągwiami, na wale strzelano z dział, kiedy królewicz wjeżdżał na groblę do miasta i do zamku; a gdy zaczęto już pić za zdrowie Jego królewskiej Mości, taki był grom z dział osadniczych, że ledwie okna całe w domach zostały. Pan Trocki z wielkim przepychem ugościwszy królewicza i dwór jego, podarował mu dwa największe działa, królewicz zaś trzeciego dnia wyjechał”.

Różno później Nieśwież przechodził koleje, w czasie wojen za Jana Kazimierza w perzynę był obrócony, odbudowany znowu i do dawniej świetności przywrócony przez ordynata Michała Kazimierza, po raz drugi zniszczony był prawie do szczytu w czasie wojen Karola XII szwedzkiego. I teraz podniósł go i odbudował drugi Michał Kazimierz Radziwiłł, wojewoda wileński i hetman W. Litewski. Oto, co pisze o tém Baliński:

„Zdaje się, że za tegoż ordynata (Hetmana Michała Kazimierza) zamek nieświeżki po wojnie szwedzkiej z gruntu wyporządkowany został i że mury jego, zburzone po większej części, wzniosły się na nowo. O dwa tysiące kroków od miasta wznosi się ów zamek stołeczny ordynacyi, z wielu niekształtnych gmachów złożony, i raczej do wielkiego klasztoru podobny, na którym trzy wieże odmiennie wysokością i rozmiarem górują. Wały z czterema narożnemi bastyonami, dwadzieścia cztery działa na nich rozstawionych i głębokie przekopy, stanowią jego obwarowanie i obronę zewnętrzną. Otoczony ze trzech stron jeziorami i stawami, z czwartą tylko przez most zwodzony grobla, Słucką zwana, łączyła go z lądem i miastem.

Najdawniejszy dotąd dochowany opis, czyli inventarz zamku, jest z r. 1658. Podług niego dzielił

się zamek na właściwą fortecę i kamienicę zamkową, w której liczono dwanaście ogromnych sal, ozdobionych kosztownymi sprzętami, malowidłami i rzeźbami w marmurach i alabastrze, oprócz mnóstwa innych komnat, różne przeznaczenie mających. Inne części zamku są: *Cekhausz*, gdzie podług opisu r. 1658 znajdowało się 84 hakownic, 30 szturmaków spiżowych, ogromna ilość ręcznej broni, zbroi, samopałów i amunicyi. *Ryszkamera*, czyli podręczny arsenał, obejmujący do tysiąca sztuk broni myśliwskiej i wojennej, wszystka niemal nabijana złotem i srebrem. Skarbiec, w którym były złożone najkosztowniejsze sprzęty i osobliwości, klejnoty, szable drogocenne, buławy i laski marszałkowskie, srebra, zbroje kosztowne, numizmata, makaty, kobierce drogie, zegary itd. Miał być jeszcze tajemny skarbiec, o którym tylko ordynat wiedział i jeden ze starych sług, przysięgą do tajemnicy obowiązany. W nim, jak powiadają, znajdowały się między innymi posągi lane z czystego srebra naturalnej wielkości dwunastu apostołów i wiele naczyń szczerozłotych”.

Zamek posiadał bogate bardzo archiwum, bibliotekę, złożoną z przeszło 20,000 tomów, dziś przeniesioną do Petersburga i piękny zbiór malowideł, tak portretów, jak krajobrazów i obrazów treści religijnej, sprowadzanych z Flamandy i Włoch.

„Kaplice dwie aż były w zamku. Pierwsza z nich dawna, jeszcze za Sierotki razem z tym gmachem powstała; drugą nową założył Michał Kazimierz Hetman w tym jedynie celu, żeby w niej osobno umieścić obraz N. P. Maryi cudownego początku, jako drogą pamiątkę po Janie III. Tablica marmurowa, znajdująca się w kaplicy, taką wiadomość o tym obrazie podaje:

Wtenczas, kiedy się podobało Boskiej Opatrzności uwolnić Wiedeń od długiego i ciężkiego oblężenia Turków za pośrednictwem Jana III roku 1683, Staśław Jabłonowski, Kasztelan krakowski, objeżdżając miasto, spostrzegł pod gruzami murów zwój płótna zgnieciony i przytłoczony kopytami końskimi. Kazawszy go do siebie przynieść, ujrzał obraz Bogarodzicy i słowa na nim wyrażone z jednej strony: *Vinces Joannes*, zwyciężysz Janie, z drugiej *Eris victor Joannes*, będziesz zwyciężcą Janie. Zdumiony temi prorozczemi wyrazami, zaniósł Jabłonowski obraz królowi, który natychmiast nakazał o nim ścisłe miejscowe śledzenie. Trudno jednak było dojść pomimo wszelkich usiłowań, kto był właścicielem obrazu, jaką koleją znalazł się tu pod gruzami, i do jakiego Jana ściągała się przepowiednia. Powiadano wprawdzie, ale bez żadnej pewnej zasady, że ten obraz był niegdyś z Włoch przywieziony przez

Jana Kapistrana, wstawionego zwycięstwem nad Turkami w Węgrzech. Cośkolwiekbyś, król jakąś analogią tego napisu do swego imienia uderzony, zaraz go w swojej kaplicy obozowej umieścił, a proroctwo to zagrzewało bohaterski umysł jego w chwilach walki z Muzułmanami.

Po śmierci króla, 17 Czerwca r. 1696 w Wilanowie przypadłej, królowa Marya Kazimiera zabrała go z sobą do Rzymu. Później dostał się obraz królewiczowi Jakóbowi, a następnie został własnością Michała Kazimierza Radziwiłła, który go w kaplicy zamku nieświezkiego umieścił. Antoni Tyszkiewicz, biskup Żmudzki, w asystencji dwóch innych biskupów, przy wielkim zebraniu senatorów i obywatelstwa, 18 Czerwca 1758 roku poświęcił tę kaplicę pod wezwaniem N. P. Maryi.

Ks. Karol Radziwiłł, wojewoda wileński, znany pod przezwiskiem Panie Kochanku, od używanego przezeń przysłowia, żył bardzo wspaniale na zamku nieświezkim. Król Stanisław August, udając się na sejm grodzieński w r. 1784 przybył go tam odwiedzić 16 Września. Radziwiłł przyjął króla tak okazale i z tak wielką liczbą obywateli, że okolice nieświezkie zdawały się być zamienione na pola elekcyjne pod Warszawą. Król przez sześć dni pobytu swego dzielił czas między oglądaniem osobliwości zamku i miasta, a ucztami, teatrem, koncertami i łowami na olbrzymią skalę. Sławne to było przyjęcie, o którym mówiono: Gościem był król, a gospodarzem Radziwiłł. Nieraz też dumny Panie Kochanku powtarzał: Król sobie królem w Krakowie, a ja w Nieświeżu.

Wtenczas to sływał w całej swój świetności ów pałac letni, zwany Alba, tuż za miastem ku południowi, wśród ogrodów i zwierzyńca położony. Zbudował go w r. 1758 Michał Kazimierz Hetman W. K. i otoczył ogrodem. Opodal zaś był inny włoski ogród, z mniejszym letnim pałacikiem zwanym *Konsolacya*. Lecz dawniejszy od obu, w obrębie tegoż samego miejsca, był inny gmach pod imieniem Eremitorium, wymurowany we dwie linie przez Sierotkę. Oprócz tego w zwierzyńcu Alby znajdowały się różne altany, pomarańczarnia i cieplarnia, a nakoniec budowa zwana *Perzarnia*, gdzie była fabryka pasów perskich. Wcześniej jednak przestała być czynną, zapewne dla tego, że inna tego rodzaju w Słucku kwitnąca coraz większej zalety nabywała.

Podczas wojny r. 1792 zamek nieświezki był wzięty i odtąd przestał być obronnym. Szacowne zbiory jego zostały rozproszone, prócz archiwum i niektórych portretów familijnych, żadnych już obecnie zabytków i pamiątek nie posiada.

BEZ PRACY NIE BĘDZIE KOŁACZY!

KOMEDYJKA W DWÓCH AKTACH Z EPILOGIEM.

OSOBY.

WOJTKOWA.

WOJTEK.

WICUŚ (*ich syn*).

KOWAL.

ANTOŚ (*jego syn*).

JĘDREK (*terminator*).

AKT I.

Scena przedstawia izbę wiejską w chacie Wojtków. Na piecu urządzonym z lada paki lub czegoś podobnego, śpi Wicusz. Wojtkowa w ubraniu leży na łóżku, jakby dopiero co się tam rzuciła. Wojtek wchodzi, niosąc siekiere i uprząż lub cośkolwiek innego, jakby powracał od roboty).

WOJTEK (*porzuca co przyniósł i rozgląda się*).

Oho! moje kobiecisko znów chore! (*zagląda w misy ponakrywane na stole*). A dla tego obiad gotów czeka! Żeby tam paść miała przy robocie, to robi co do niej należy! Biedne a pocziwe kobiecisko! Oj bieda, bieda, bieda! (*zasiada i je, spoglądając na piec*). Wicusz!... Wicusz!... Wisusie ty, czyś głuchy? słyszysz! nie będziesz to jadł ze mną? coś ci się stało dziwnego! przecież choć do niczego więcej, to do misy zawsze skory bywaś!... Chrapie i ani się ruszy! wisus chłopak; musiał się już tego najeść, gdy łąka głodem marłem u pracy. Bo też spóźniłem się trochę, to gdzieżby ten nicpoń tak długo bez obiadu wytrzymał; a i małczyśko nie dałoby mu tak długo czekać. Oj bieda, bieda, bieda!...

WOJTKOWA (*słabym głosem*).

Wicusiu! pić... daj mi pić... (*Wicusz nie rusza się, Wojtek chce wstawać*). Nie wy, ojczel! nie! napracowaliście się, zjedzcież choć obiad spokojnie. Wicusz! daj mi pić!

WOJTEK (*krzycząc surowo*).

Wicusz! a słyszysz?

WICUŚ (*porusza się i ogląda leniwo*).

A no... to... zsaďtecie mię z pieca, to dam wam pić... (*ziewa*).

WOJTEK (*z gniewem zrywając się, ciska łyżkę*).

A ty próżniaku! ty...

WOJTKOWA (*zrywając się także z trudnością*).

Oj oj! już ja sama się napiję! nie gniewajcie się! Jedzcie spokojnie! mój Wojtek! nie gniewajcie się na dziecko, bo to jedyne! a nuż znów umrze, jak tamte!... (*zaczyna płakać*).

WOJTEK (*uspokaja się i je znów spokojnie*).

No już nic mu nie mówię, nic. Tylko nie płacz-

cie, matko, bo widzicie, choć już nie stoję, ani o dobytek, ani o chatę, to jak znachory resztę za leki zabiorą, cóż poczniemy? co się z wami i z tym wisusem stanie?

WOJTKOWA (*napiwszy się wody*).

Już nie płacę i słabość mię już odchodzi trochę. (*sprząta naczynia po jedzeniu*). A, zapomniałam, że mam tu jeszcze zgotowane jaja; jest tego dość, kury się niosą, jedzcie, niech wam będzie na zdrowie (*podawwszy Wojtkowi, podchodzi do pieca na którym znowu chrapie Wicus*).

WOJTKOWA.

Wicus! a możebyś i ty zjadł jajo? bo ty już da, wno po obiedzie, zjadłbyś jajo?

WICUS (*ziewając*).

A czy obłupione?

WOJTKOWA.

Zaraz obłupię.

WOJTEK (*uderza pięścią w stół*).

A to zgroza! kobieto, zastanów się, gdzie i do czego my doprowadzimy to dziecko, gdy je będziemy tak wychowywać jak dotąd? Chłopak wyrósł, jak żerdź, a taki próżniak, że mu samemu sobie do zjedzenia jaja nie chce się obłupić, ani chorąj matce wody podać! Cóż z niego będzie, gdy nas nie stanie? Boże broń w złą godzinę wymówić, on na złoczyńcę chyba wyjść może, gdy jeść zechce a pracować nie będzie mu się chciało! Przecież zawsze byłaś, matko, rozumną kobietą, tylko teraz z nieszczęścia z tamtymi dziećmi i z choroby tak ci się dziwnie zrobiło; zastanów się, że ja mam słuszność! A to ci powiadam, że Boże broń... ale nareszcie wolałbym już, żeby mi i to ostatnie dziecko umarło, niż żeby miało wyjść na złoczyńcę z próżniactwa i z głupoty! A nie płaczcież znowu! Wyście chorzy, to nie macie winy, ale ja zdrów jestem i ojciec, to pewno będę miał ciężki grzech na sumieniu za to, że nie umiem złemu poradzić. O Boże, jakież ja nieszczęśliwy! Oj bieda, bieda, bieda!

WOJTKOWA (*wstrzymuje się od płaczu*).

Ja wiem, wiem, że wy słusznie mówicie, i że ja źle robię, i że sama nieszczęście chłopcu gotuję, i dawniej nie takbym z nim sobie poczęła. Ale cóż, kiedy teraz ja sama nie wiem, co się ze mną dzieje...

WOJTEK.

To tak z choroby! Z choroby można przecież ze wszystkiem rozum stracić. Ale ja nie chory, to powinienem na wszystko poradzić, a nie umiem. Oj bieda, bieda, bieda!

WOJTKOWA.

A jak na niego patrzę, a o tamtych zmarłych pomyślę, to mię taki żal zdejmuję, że gdyby on

chciał nie wiedzieć co, to nie mam serca się na niego gniewać...

WOJTEK.

Z choroby i z nieszczęścia to wszystko; bo wam się zdaje, że on zaraz od wszystkiego już umrze; a to bajka. Innych biją, zabijają, jak tam sieroty czasem, a one żyją i zdrowe, a nasze pieszczone były, i przyszła choroba i wzięła. To tak, jak Pan Bóg da. Ale to jest w tém, że wy z choroby nie możecie patrzeć, jak on się skrzywi, bo was serce zaraz o niego boli.

WOJTKOWA.

O toż to! zaraz mię boli... nie mogę patrzeć!

WOJTEK.

A żeby jego oddać gdzie w uczciwe ręce wam za oczy? do terminu gdzie może?

WOJTKOWA.

Do terminu?!...

WOJTEK.

Nie bójcie się, dziś dobrze się z terminatorami majstrowie obchodzą, aż za dobrze; bo ja zawsze mówię po staremu: jak nie można dobrém słowem, to trzeba dobrą brzezina! raz, dwa! po ojcowsku, to pomoże! tylko nie szturchać i nie krzyczyć ciągle, bo to przyzwyczajają do kary i ogłupiają najmędrszego. Ja zawsze tak powiadam.

WOJTKOWA.

A możeby tak i dobrze było, bo mię straszny strach zdejmuję o to, co on będzie robił, jak nas zabraknie...

WOJTEK.

Otoż to!

WOJTKOWA (*podchodząc do pieca*).

Wicus! Wicus! nie poszedłbyś ty do terminu?

WICUS (*chrapnąwszy mocniej*).

Co?... słoniny?... hę... może podołam... dajcie słoniny, tylko dobrze przysmażcie na pachnąco. (*ziewa*).

WOJTEK.

Widział to kto? leży na piecu, nic nie robi, tylko je i śpi, i nic mu, tylko jedzenie na myśli! On się jeszcze z tego rozchoruje!

WOJTKOWA (*z krzykiem*).

Rozchoruje? i umrze! O dla Boga, a on tyle dziś zjadł i codzień je, że czterechby nie podołało, a nic się z pieca nie rusza! Pewno się rozchoruje! Wicus! Wicus mój kochany, ruszaj ty zaraz do terminu, żebyś nie zachorował! Wicus, Wicus!

WICUS (*ziewając*).

Albo co tam?!...

WOJTKOWA.

Złaż z pieca! ruszaj do terminu!

WICUS.

Do terminu?... Ja?... Do jakiego terminu?

WOJTKOWA.

A prawda! do jakiego terminu?

WOJTEK.

Mniejsza do jakiego, byleś w domu dłużej na piecu nie leżał, bo od tego się rozchorujesz!

WOJTKOWA.

Słyszysz! rozchorujesz się!

WOJTEK.

Mógłbyś ty wprawdzie, jak uczciwy gospodarzki syn, koło roli wspólnie ze mną robić, ale kiedy nie chcesz, a matka nie może patrzeć, jakbym cię poprosił... brzezina... to idźże do obcych do terminu. A możeby do tego kowala pocziwego z drugiej wsi?...

WOJTKOWA.

Bardzo pocziwy człowiek!

WOJTEK.

Dalej! złaż z pieca sam! bo ja cię zsadzać nie myślę! pójdź do terminu! A słyszysz!

WICUŚ (*złazi nareszcie z wielkim namysłem*).

Tatusiu!... wy to niby ostrzejsi jesteście, jak matusia, ale... ja was znam, wy tacy sami dobrzy jesteście, jak matusia, i ja wiem, że wszystko mi z kochania na dobre chcecie, i jabym już chciał ze sobą coś począć, bo jak się czasem przebudzę, a matka zaraz mi jeść nie daje, to mi wtedy strasznie a strasznie się przykrzy; ale do terminu, to ja nie chcę! bo ja się boję!... (*beczy*).

WOJTEK.

Patrzcie, ludzie! chłop wyrósł tyli, co i ja, i beczy i pięści sobie w oczy pakuje, jak roczne dziecko! i to dla tego, że się roboty boi! To wstyd jest mieć takiego syna, bo każdy będzie mówił: jakie drzewo, taki klin! jaki ojciec, taki syn! A tu Bóg widzi, że ja nie próżniak!

WOJTKOWA.

Mój Wicusi! moje dziecko! słuchaj ty ojca, idź do terminu, żebyś nie zachorował z tego leżenia!

WICUŚ (*wybuchając płaczem*).

To ja będę płakał! będę póty płakał, aż zachoruję z płaczu!...

WOJTKOWA.

I tak zachoruje, i tak zachoruje! A gdyby poprosić kowala, żeby się z nim delikatnie obchodził? możeby tak dobrze było?

WOJTEK.

Ej, jabym sam potrafił się z nim obejść delikatnie!...

WICUŚ.

Jabym już poszedł do terminu... ale żeby tak, jak matka mówi...

WOJTEK.

A jakże to?

WICUŚ (*ogłędając się na piec*).

A tak, żeby mi było dobrze...

WOJTEK.

Żebyś na piecu u kowala leżał? Nie, mój kochany, w taki sposób niczego byś się nie wyuczył.

WICUŚ.

A przekonałby się ojciec, że jakbym tylko dobrze patrzył na robotę, tobym się wyuczył.

WOJTKOWA.

Może to i prawda? możeby on się wyuczył patrzyeniem? i nie zmordowałby się, i chleb miałby w ręce na potem, jak nas nie stanie!

WOJTEK.

Wiecie co, matko, że dla tego, aby on na tym tu piecu dłużej dniami całymi nie leżał, to już powiem o tym kowalowi. Wreszcie może leżąc u kowala na piecu zawstydzi się przecież swego próżniactwa, gdy Antoś i Jędrzek wyśmiewać się z niego zaczną, że jest próżniak.

WICUŚ.

To ja tak nie chcę!

WOJTEK.

To jakże chcesz?

WICUŚ (*ogłędając się leniwo, spostrzcga wielki kosz*).

A... a gdyby tak wziąć ten kosz, co w nim matka ogrodowiznę nosi, i przybić go mocno, mocno! u kowala na ścianie, to jabym w tym koszu siedział i patrzył, i takbym się rzemiosła nauczył, a jużby mnie chłopaki nie nazywali piecuchem, bo bym nie leżał na piecu!

WOJTEK.

Tylko w koszu! Ha, ha, ha! ja się niby śmieję, ale płakać chce się mi naprawdę nad takim synem; niedarmo to ludzie powiadają, że z jedynaka niezwykło być nic dobrego; chce terminować na kowala, siedząc w koszu! mnie się zdaje, że on głupoty dostał z tego leżenia na piecu. Niech już będzie co chce, byle dłużej nie leżał tutaj. Bierz ten kosz i idź do kowala!

WICUŚ (*próbując kosza krzywić się*).

Strasznie ciężki!...

WOJTEK (*zarzuca kosz sobie na plecy*).

Ot, i kosz mu ciężki! może i ciebie jeszcze ponieść? no, pójdź, pójdź! A ciekawym, co to będzie z tego terminowania, bo nie słyszałem jeszcze, żeby bez pracy kto się dorobił kołaczy.

WICUŚ.

Dobrze będzie, mój tatusiu. Jak ja się przez parę lat, jak zwyczajnie w terminie, będę przypatrywał każdej robocie, to już ja się każdej wyuczę. A jakbym nie siedział w koszu, tobym musiał wodę nosić, i dzieci piastować, i izbę zamiatąć, jak to w terminie, i tylkobym próżno czas marnował. Tak będzie lepiej, widzicie, nic się czasu nie zmarnuje.

nuje, bo ja będę tylko roboty patrzeć! Za dwa lata weźmiecie mnie do domu tu napowrót, sprawicie wszystko, co kowalowi potrzeba, żelazo, cęgi, miech, no, już ja się dowiem, co potrzeba, i będziemy we dwóch prowadzić rzemiosło.

WOJTEK.

We dwóch? to niby, że ja będę pracował, a ty będziesz nakazywał, boś się nigdy do pracy nie wdroył?...
 WICUŚ.

No, oczywiście, bo ja będę majster, a wy, tatusiu, będziecie do pomocy. Zobaczycie, że zrobimy wielki majątek.

WOJTEK.

Oho! mądre to, jak kocie sadło, jak sak, pracować się temu nie chce, aż strach, tak, jakbyśmy w raju a nie na ziemi żyli, ale majątek zrobić bez pracy, każdy ma ochotę! Takie dzisiaj czasy! I dla tego tyle jest nieszczęść i tylu złych ludzi na świecie. No, pójdź do terminu.

(wychodzą oba).

RODZINA ARTYSTY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA,

przez M..a.

(Dalszy ciąg).

Tak mówił ojciec, ale dzieci wszystkie na raz wołać zaczęły:

— Ale nie, nie! my nie puszczamy wodzy pragnieniom, my mamy słuszne żądania; czyliżby ich nie można zaspokoić?

— A więc treściwie, jakież to są żądania? Otwieram posiedzenie Rady.

— Przedewszystkiém, praca od rana do nocy, bo to daje zdrowie i siły, i czyni chwilowy spoczynek prawdziwą uciechą, — powiedział Lelewel-Ilegel, recytując jak z książki.

— Szanowny kolega Lelewel wnosi projekt przed naszą Izbę Radną. — Kto jest za wnioskiem? — wołał ojciec.

— Ja, Ja, Ja, Ja, — była jednogłówna odpowiedź.. — wszyscy!

— A więc dalej. Czego pragniecie więcéj? Kolega Lelewel ma głos.

— Skrzypce; Stradivarius!

— Dobrze; dalej; Kolega Aneczka ma głos.

— Żadnych przesileń.

— Dobrze; dalej; Kolega Kasia ma głos.

— Domek z ogródkiem, małeńki, aby własny.

— Dalej: kto ma jaką poprawkę do zrobienia, niech żąda głosu.

— Już nic.

— Nic?

— No, zdrowie i dobry humor.

— To się przedewszystkiém rozumie; ale więcéj?

— Czy tam koło naszego pokoju na strychu będzie kąt na książki? — zapytał Lelewel półgłosem.

— Oczywiście.

— To już nic więcéj. Przecież ojciec nie powie, że mamy pragnienia bez granic.

— Nie, moje dzieci, nie tylko tego wam nie powiem, ale nawet powiem wam, że wasze żądania ograniczone są bardziej, niż sami sądzicie, bo właściwie można je zredukować do samego jednego domku z ogródkiem; gdybyście do tego doszli, reszta znalazłaby się przy pracy sama z siebie, ponieważ nie płaciłoby się komornego. Rozumie się, przypuściwszy, żebyście zawsze zgodnie żyli z sobą, bo inaczej domek stałby się piekłem.

— Och, rozumie się! a więc pragnienia nasze słuszne są i skromne, i możliwe, i od dziś dnia powinniśmy starać się o ich urzeczywistnienie, to jest o zdobycie domku z ogródkiem — mówiła żywo Aneczka tak, jakby tylko od zezwolenia ojca zależała ta cała sprawa.

— Tak — rzekł ojciec, czyniąc głową znak zezwolenia.

— Więc trzeba nabyć domek z ogródkiem i kwita — rzekła Kasia.

— Wiwat domek z ogródkiem! — krzyknęli inni.

— Ależ, moi kochani, żeby nabyć domek z ogródkiem, trzeba mieć pieniądze — powiedziała matka.

— Wielka rzecz! to je zapracować — zawołano.

— Moi drodzy, wasz ojciec całe życie pracuje i nic nie zapracował dotąd, — szepnęła znowu. Myśliciel zbliżył się do niej:

— Ojciec pracował dotąd sam jeden na nas wszystkich, ponieważ my byliśmy dziećmi, ale teraz my jesteśmy ludźmi i będziemy pracowali wszyscy razem na jeden, jedyny małeńki domek, więc to, co dla jednego ojca było niemożliwe, teraz dla nas wszystkich możliwém będzie. — tłómaczył myśliciel poważnie.

— Ale wyście jeszcze bardzo mali ludzie — rzekła matka z uśmiechem.

Ile na taki dom trzeba pieniędzy? — spytał Paganini, sięgając do kieszeni. Ojciec głową pokręcił.

— Z piętnaście tysięcy złotych, jeżeli ma być w taniém miejscu, za miastem — rzekł po namyśle.

— A więc pracujmy! przecież to jest niepodo-

bieństwo, żeby pięcioro ludzi, licząc z ojcem, a bez mamy, bo mama domem zajęta, nie mogło zapracować, choćby przez piętnaście lat, nędznych piętnastu tysięcy! — z zapalem zawyrokowała Aneczka. I wszystko czworo dzieci otoczyło ojca.

— Zgoda, zgoda! ja gotów jestem pracować dalej, jak dotąd, ale jak to wy pracować chcecie, doprawdy nie wiem — rzekł ojciec.

— A gdyby tak pojechać do Ameryki? tam wszyscy jeżdżą po majątek?..

— I jeden na stu wygrywa; nie licząc, że się często życiem trudy podróży przypłaca. Nie zgadzam się na Amerykę, nie naraziłbym was i matki na to.

— A gdyby tak chodzić grywać po wieczorach?

— Ludzie wolą na to fortepianistów niż skrzypków; a ktoby tam chciał takiego malca, jak ty; a ktoby chodził z tobą? bo przecież idzie i wraca się w nocy, a skrzypce to kosztowna rzecz.

— A gdyby się do szycia porządnego i do strojów zabrać?

— Toby trzeba umieć szyc porządnie; a i na to potrzeba kosztów.

— A gdyby w służbę pójść, dzieci piastować tak, jak ja tu Kocię piastuję? — zawołała nakoniec zrozpaczona Kasia.

— Ha, kto wie, czyś ty nie najpraktyczniej trafiła; dostawszy się za niankę do dziecka do jakich ubogich ludzi, bo inni takię małej dziewczynyby nie przyjęli, mogłabyś istotnie zapracować na siebie; ale że na dom nie złożyłabyś nic, to pewna — zaręczył ojciec i dodał po chwili, patrząc na powarzone dzieci:

— Tak, moi drodzy, zarobek trudny jest dla dorosłych ludzi, a dla małych jeszcze trudniejszy.

— Proszę ojca, czy ojciec czasem nie dla tego sprzeczną odpowiedź dla nas na każdy zamiar znajduje, że ojciec żartuje tylko z nami, a naprawdę nie życzyłby sobie, abyśmy do pracy się wzięli? — zapytała nagle Aneczka. Cztery dziecinne główki podniosły się z podejrzliwem na ojca spojrzeniem. On trochę pomyślał, a potem rzekł:

— Wiecie, że ja zawsze prawdę mówię; otóż i teraz powiem wam, że Aneczka po części zgadła.

— Aha! — rozległo się w pokoju.

— I marzyć tu u nas o przedsiębiorstwach, kiedy człowiek jest na każdym kroku związanym! — jęknął Lelewel-Napoleon i ręce na piersiach założywszy odszedł ku oknu, jakby dał za wygraną rozmowie.

— I gadajże tu u nas o porządnej orkiestrze, kiedy skrzypkowi, takiemu jak ja, za próg, jak pospolitemu dzieciakowi, wyjść samemu nie wolno! — krzyknął Paganini, uderzając się pięścią w pierś

przy wyrazie *Ja*, i z kolan ojca zeskoczył w wewnętrzny duchu wzburzeniu.

— I pisać tu u nas o samodzielności kobiet, kiedy im nawet niankami być tylko we własnej rodzinie wolno! — szepnęła Kasia.

— I po co tu oczy nad szyciem marnować, kiedy szyjąc przez ośm lat życia, jeszcze się szyc nie umie! — dobitnie powiedziała obrażona Aneczka; bo ona od ośmu lat obszywała dom z matką i pomagała jej w branych do domu robotach.

— Ależ czekajcie-no, czekajcie, — rzekł ojciec, biorąc się za głowę pod gradem wymówek, — powiedziałem, że Aneczka zgadła po części tylko. To znaczy, że do głębi duszy przeciwny jestem zaprzęganu dzieci do wczesnej pracy, choćby już dla tych samych prostych powodów, dla jakich porządnym gospodarz i młodego konika do pracy nie zaprzęga przed czasem: nie chcę stargać sił waszych przedwcześnie. Jednakże, abyście żalu do mnie nie mieli za to, że wam w kupnie domu przeszkadzam, przyrzekam, nie tylko pozwolić wam pracować, ale nawet sam pomagać w szukaniu tej pracy, byleśmy tylko niezbyt ciężką znaleźli.

Taka obietnica uspokoiła dzieci. I rzeczywiście przez resztę wakacyj szukano.

Najprzód poszedł ojciec z Paganinim do porządnego majstra stolarskiego, bo ułożonem było, że Oleś-Paganini żyć będzie z rzemiosła, a skrzypcami i muzyką będzie sobie tylko to życie ośladzać. Nie dopatrywano w nim takich znów nadzwyczajnych zdolności, żeby się na nie ze wszystkiem spuszczać.

Majster sprawy wysłuchał, zamyślił się głęboko, potem starszego czeladnika zawoławszy, zaczął się z nim naradzać, czyby jeszcze jeden chłopiec dał się w warsztacie pomieścić, i nareszcie za dosyć okrągłą sumkę obiecał zrobić żadaną dogodność i chłopca do terminu przyjąć.

— Mój syn już się trochę stolarstwa uczył, w warsztacie się przyda, a więc ja chcę go umieścić bez opłaty — rzekł ojciec.

— O, mój panie — odpowiedział majster, — jeżeli takie są pańskie zamiary, to nie mamy o czem mówić; dziś nie tak łatwo dostać się do warsztatu jak dawniej, bo dziś wielcy panowie synów swoich do rzemiosła oddają i przepłacają za nich; żegnam pana.

— Ależ, ojciec! co on mówi o zapłacie, kiedy to ja sam chcę zapłaty — zawołał Paganini, gdy się znaleźli na ulicy.

— Ty chcesz, ale ja o tém nie myślałem, chciałem tylko usposobić cię, żebyś mógł ją brać jak najprędzej, a i to się nie udaje. Spróbujemy jeszcze u innych majstrów, a jak nie zechcą przyjąć

cię bezpłatnie, to koniec końców trzeba będzie pociągnąć się jak można i płacić. ✕

Paganini milczał, a na płacz mu się zbierało. Pierwszy fundusz na nieruchomości nie szczególnie się zapowiadał. Obeszli wszystkich prawie majstrów i wszędzie jednakową otrzymali odpowiedź, z różnicą tylko, co do wysokości żądanej zapłaty. Jeden jedyny majster zgodził się przyjąć Paganiego do terminu darmo, ale zażądał od ojca pewnego rodzaju cyrografu, jako mu chłopiec na tyle a tyle lat zostaje ze wszystkim oddany, bez możliwości odebrania pod żadnym warunkiem. Na to ojciec przystać nie chciał, i ostatecznie z niczém do domu wrócili. A było to już drugiego dnia takowej po majstrach wędrówki. Paganini wracał zrozpaczony, prosząc ojca, ażeby dać pokój stolarce, a w szewstwie szczęścia próbować. Ojciec nic mu nie mówił, ale sam przewidywał, że z szewstwem być może też sama historia.

W domu zastali trochę lepszą nowinę, bo matka, która tymczasem tak samo miejsca dla Aneczki szukała, otrzymała przyrzeczenie w jednej szwalni, gdzie jęj przyjść do roboty kazano za trzy dni, gdy sama pani ze wsi wróci. O zapłacie miało pomówić po miesiącu próby. Tego wieczora Paganini płakał, Aneczka mimo współczucia dla niego skakała z radości.

Trzy dni minęło i losy odmieniły się, pani owęj szwalni powiedziała, że panien już nie potrzebuje, a zapłakany Paganini, posłany po ćwierć funta herbaty do kupca, wszedłszy do zamożnego sklepu i widząc, że w natłoku kupujących zabrakło jakoś chłopców do odnoszenia paczek, ofiarował się z usługą, bo mu się zdawało, że to go niby do owego sklepu przyczepi. Zaniósł sporą paczkę na drugą ulicę, a pan, który nieść ją kazał, dał mu piętnaście groszy, odbierając tę paczkę w swoim mieszkaniu. Paganini pędem pobiegł do sklepu napowrót i oddał te pieniądze sprzedawczemu, pytając, czy onby nie mógł służyć w tym sklepie tak, jak kilku porządnie wyglądających chłopców, którzy się tam kręcili. Myśl ta spadła na niego niespodzianie; wchodząc po raz pierwszy do sklepu, nie miał jęj wcale. Ów zapytany był to starszy subjekt, tak nazywają pracujących w takich sklepach. Zmierzył on chłopca oczyma od stóp do głowy i rzekł:

— Jeżeli się będziesz dobrze sprawiał, dostaniesz cztery ruble na miesiąc i jeść; przyjdź jutro o szóstej rano, ale przynieś jakie świadectwo, albo przyjdź z kim starszym.

(D. c. n.).

ZAGADKA MNEMONICZNA.

(Od Anulki J. dla Manuni Z. w Lipczanach).

Jaki jest poeta polski, którego nazwiska pierwsza litera, połączona z pierwszymi literami tytułów trzech jego 14-o wierszowych poezyj, utworzy imię *Adam*?

ŁAMIGŁÓWKA LICZBOWA (W. Tr.).

Z 9 liter nazwisko sławnego malarza. Przestawiając litery, otrzymamy:

- 8, 3, 2, Ptak domowy.
- 6, 5, 7, 1, Wyrób owadów.
- 7, 5, 8, Płyn.
- 1, 9, 2, Oznaka żałoby.
- 8, 2, 3, 1, Ptak leśny.
- 1, 5, 7, Ptak śpiewający.
- 2, 5, 8, Miara czasu.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 10-go.

Metagramu:

Rak — Mak — Lak — Rok.

Łamigłówki zgłoskowe:

Kalisz
Ojciec
Cincinnati
Hrubieszów
Ale
Noemi
Oberek
Wawrzyn
Sobole
Kraszewski
Irys.

OD REDAKCYI.

Prenumeratorom kwartalnym przypominamy odnowienie prenumeraty dla uniknienia zwłoki w odbiorze Pisma.

Ogłoszenie.

Biblioteka matematyczno - fizyczna wydawana przez Maryana Baranieckiego z zapomogi kasy pomocy naukowej imienia Mianowskiego.

Serya I. Tomy II i III.

Wiadomości początkowe z fizyki S. Kramsztyka.

Kartonowane 103 drzeworyty. Cena części I kop. 30^{II} kop. 45.

WIECZORY RODZINNE

DLA MAŁYCH DZIECI.

Rozmówka.

Andzia. Mamuniu, co to za dziwna jakaś kobieta na obrazku? Tak zabawnie ubrana, nigdy nie widziałam, żeby się kto tak ubierał.

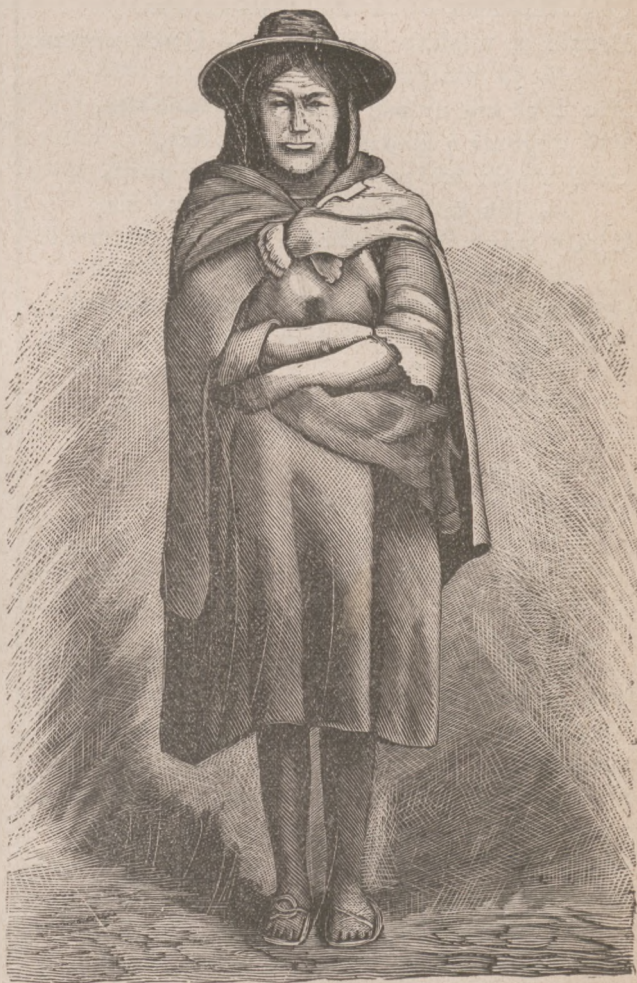
Mama. Nie mogłaś przecież widzieć w naszym kraju Peruwianki.

Andzia. A więc to Peruwianka? O, to już wiem, Mamuniu, ona mieszka w Ameryce, w tym kraju, gdzie żyją takie lamy, co to już kiedyś były na obrazku.

Mama. To bardzo ładnie, że moja córeczka jest uważna i pamięta, co raz widziała na obrazkach i co Mama opowiadała. Ta kobieta jest to rzeczywiście góralka z tych samych okolic, gdzie przebywają lamy. Strój jej składa się z krótkiej spodniczki, zwykle jaskrawego koloru, czerwonej, zielonej lub błękitnej. Na plecach ma dużą płachtę kwadratową z takiejże samej tkaniny, spiętą wielką szpilką z przodu, na głowie kapelusz filcowy.

Andzia. A jakie ma zabawne trzewiczki; same tylko podeszwy przywiązane do nogi, i nawet pończoszek nie nosi, bo widać wszystkie palce. To dopiero wygodne obuwie!

Mama. Ona do niego przywykła i pewnieby jej właśnie było niewygodnie w takich wysokich węgierkach, jak twoje.



PRZYJACIELE.

Bajka Krasickiego.

Zajączek jeden młody,
Korzystając z swobody,
Paś się trawką, ziółkami, w polu i w ogrodzie,
Z każdym w zgodzie,
A że był bardzo grzeczny, rozkoszny i miły;
Bardzo go tam zwierzęta lubiły.

I on też używając wszystkiego z weselem,
Wszystkich był przyjacielem.

Raz, gdy wyszedł o świcie i bujał po łące,
Słyszysz przerażające
Głosy trąb, psów szczekania, trzask wielki po
Stanął — słucha — dziwuje się... [lesie.
A gdy się coraz zbliżał ów hałas, wrzask srogi,
Zając w nogi.
Spojrzy się poza siebie, aż dwa psy i strzelce;
Strwożon wielce,
Przecież wypadł na drogę, od psów się oddalił
Spotkał konia, prosi go, iżby się użalił:

— Weź mnie na grzbiet i unieś! — Koń na to: —

[Nie mogę,

Ale od innych pewną będziesz miał załogę.
Jakoż wół się nadarzył: — Ratusz, przyjacielu!
Wół na to: — Takich jak ja zapewne nie wielu
Znajdziesz; ale poczekaj i ukryj się w trawie,
Ja odejdę na chwilę, nie długo zabawię,
A tymczasem masz kozła, co ci dopomoże.

Kozieł: — Żal mi cię, nieboże!

Ale ci grzbietu nie dam, twardy, nie dogodzi,
Oto wełniasta owca niedaleko chodzi,
Będzie ci miękko siedzieć... — Owca rzecze:

— Ja nie przeczę;

Ale choć cię uniosę pomiędzy manowce,
Psy dogonią i zjedzą zająca i owcę.
Udaj się do cielęcia, które się tu pasie.

— Jak ja ciebie mam wziąć na się,

Kiedy starsi nie wzięli? — cielę na to rzekło
I uciekło.

Gdy więc wszystkie sposoby ratunku upadły,
Wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły.

WRÓBELEK.

(Z francuskiego.)

II.

Już miesiąc Marzec się kończy, wiatr zimny
jeszcze dmucha często, ale słońeczko coraz
więcej przygrzewa. Para wróbelków rozgo-
spodarowała się na dobre w gniazdeczku ja-
skółek. Teraz, gdy już troszkę pocieplało,
i samiec i samiczka w ciągłym są ruchu, co
chwila, to jedno, to drugie wylatuje z gniaz-
deczka, szuka, szpera, po płotach, po gałę-
ziach drzew, i powraca, niosąc w dziobku
żdziebełko mchu, strzępek wełny, niteczkę
lub piórko.

— Bądź spokojna, żoneczko — mówi sa-
miec — już teraz nasze dziecińcy będą tu
miały wszelką wygodę, ustaliliśmy im taką
mięciutką pościółkę. Zebyż to już prędzej o-
baczyć ten drobiazg kochany, te śliczne żółte
dziobki! Chciałbym już usłyszeć jak one zaczną
szczebiotać: Tatku, tatku! Ale teraz odpocz-
nijmy trochę, bośmy się dobrze napracowali.

Już ranek, dzień biały, wróbliczka siedzi
w gniazdeczku, a samiec podskakuje wesoło
na gzymsie w pobliżu, zagląda do gniazdka
i woła:

— Pokażno, pokaż jeszcze raz, jak ono
wygląda?

Wróbliczka podnosi się ostrożnie i odkry-
wa na chwilę małe jajeczko brunatno nakra-
piane, które zniosła w nocy.

— Jakie śliczne! — woła samiec — siadaj,
siadaj prędiutko, żeby się nie oziębiło.

I wróbelek uradowany odlatuje na dach
i świegoce w niebogłosy:

— Pi, pi, pi, jajko mam, pi, pi, pi, wam
nie dam.

Wszystkie wróbelki z sąsiedztwa zleciały
się i winszowały szczęśliwemu ojczulkowi,
i życzyły mu pociechy z pisklątek.

Nazajutrz samiczka zniosła drugie jajko,
a wróbelek z wielkiej radości wyleciał na
najwyższy komin i krzyczał na całe gardło:

— Pi, pi, pi, pi, pi, dwa jajeczka mam,
nikomu nie dam.

Przy końcu tygodnia mama wróbliczka
miała aż cztery jajka i siedziała na nich przez
cały dzień, czasem tylko na chwileczkę odla-
tywała, gdy jej głód dokuczył. Poczciwy
wróbelek rzadko kiedy także oddalał się od
gniazdeczka, zabawiał swoją żoneczkę, żeby
się nie nudziła, przyśpiewywał jej, opowiadał
o wszystkim, co się działo w okolicy. Pe-
wnego dnia z rana wróbliczka zawołała na
niego:

— Chodźno posłuchaj; coś mi się zdaje,
że w jednym jajku słychać szelest; może to
nasze pisklątko stuka dziobkiem w skorupkę,
może się już chce wydobyć na świat Boży?

I odkryła troszeczkę jajko, a tu skorupka
pękła, mateczka rozbiła ją do reszty i wnet u-
kazał się malutki dziobek, potem główeczka
i zabawne pisklątko z zamkniętymi oczkami,
bez piórek, wysunęło się z jajka.

— Ach, żoneczko — mówił wróbelek za-
frasowany — co to znaczy, że to biedactwo
oczek nie może otworzyć, i czemu ono piórek
nie ma?

— Czyżby to nasze pisklątko miało być
kaleczką? — rzekła samiczka ze smutkiem, —
leć proszę ciebie, mężulku, po babunię, ona
taka jest doświadczona, może nam co po-
radzi.

Wróbelek pofrunął prędiutko i wkrótce
powrócił ze staruszką.

— Pokażcie mi tego malca — rzekła ba-
bunia wróbliczka — co też wam w głowie
moje dzieci, pisklątko jest zupełnie zdrowe
i wyrośnie na pysznego ptaka. Wszystkie wró-
belki tak wyglądają, gdy na świat przychodzą.
Czekajcie cierpliwie, a za kilka dni wasze
maleństwo otworzy oczki i piórka mu zaczną

wyrastać. Pilnujcie tylko, żeby nie było głodne, to rzecz najważniejsza.

Upłynęło dni kilka, wszystkie pisklęta wydożyły się z jajek, zaczynają już porastać w piórka, otwierają oczki, a od rana do wieczora krzyczą jedno przed drugim:

— Jeść! jeść! jeść!

Mateczka leci szukać pokarmu, bo dziatwa nie powinna być głodna. Małe wróbelki wyglądają niecierpliwie jej powrotu, a gdy ją spostrzegą z lizką w dziobku, wszystkie wyciągają łebki, potrącają się, włożą na krawędź gniazdka i krzyczą:

— Mnie! mnie! mnie!

I rozdziawiają dziobki żółte, patrząc chciwie na pokarm; ale mateczka nie może wszystkich obdzielić od razu, więc jedno dostaje lizkę i połknąwszy ją, zamyka oczki, jakby do snu, po chwili jednak krzyczy wraz z innymi i gdy mateczka nową zdobycz przyniesie, wszystkie pisklęta rozdziawiają dziobki, a rodzice muszą dobrze uważać, ażeby każde nakarmić z kolei.

I samiec i samiczka mają teraz co robić; niemało liszek muszą nachwytać przez dzień, ażeby nasycić tych żarłoków. Wieczorem dopiero, gdy drobiazg usnie w gniazdku, i oni mogą odpocząć trochę. Cieszą się, że dziatwa tak zdrowo rośnie, nie robią pomiędzy pisklętami żadnej różnicy, zarówno kochają i trzech tegich synków i miłą córeczkę, Jasnotkę, tak nazwaną dla tego, że słońeczko jasno świeciło, gdy ona wychodziła z jajka.

Dnia pewnego oboje rodzice dłużej niż zwykle zabawili na wycieczce, upolowali parę pysznych owadów i przynieśli dzieciom, ale mocno się zdziwili, zastając niezwykłą ciszę w gniazdeczku. Pisklęta siedziały przytulone jedno do drugiego, były przestraszone i drżące. Dopiero na widok rodziców mała Jasnotka pierwsza podniosła łebek, wołając:

— Tatku, tatku! żebyś wiedział, co tu się stało! Jakies dwa ptaki, wcale do nas nie podobne, zaglądały do gniazdka i okropnie się czegoś gniewały; tak nas przestraszyły!

— Ach! to pewnie jaskółki — rzekł wróbelek zaniepokojony — a czy nie mogłybyście mi powiedzieć, moje dzieci, jak te ptaki wyglądały?

— Grzbiet miały ciemnogrnatowy, — mówiła Jasnotka.

— A brzusek biały — rzekł jeden z braciszków.

— A gardziołek jasnobrunatny — dodał inny.

— To one! to one! — odrzekł ojciec — mój Boże, co my teraz pocniemy! Wy jeszcze latać nie umiecie, niepodobna się przemieszczać. Nie spodziewałem się, ażeby jaskółki tak wcześniej powróciły z wędrówki, toż to dopiero początek Kwietnia.

— Darmo się tylko niepokoisz — mówiła mateczka — jaskółki są bardzo dobre i grzeczne, one przecież także dzieci hodują i wiedzą, co to znaczy. Pewna jestem, że pozwolą nam przemieszczać jeszcze jakiś czas w swoim gniazdeczku.

— Bardzo wątpię — rzekł ojciec — w każdym razie muszę tu zostać i rozmówić się z nimi, gdyby nadleciały, a ty już sama śpiesz po jedzenie dla dzieci. Widziałem mnóstwo liszek na tej jabłoni, co tam stoi obok kościółka, wszak znasz ją dobrze.

Mateczka odleciała, a ojczulek usiadł w gniazdku obok dzieci, nastroszył piórka i czekał odważnie na jaskółki.

Wkrótce dał się słyszeć szelest i para jaskółek usiadła na gzymsie tuż obok gniazdka.

— Dobrze, żeśmy zastali jegomości — rzekł samiec do wróbelka — mamy z sobą do pomówienia. — Słyszałem ja nieraz od znajomych, że wróbelki przywłaszczają sobie gniazda jaskółek, ale nie chciałem temu wierzyć, bo miałem je za uczciwe ptaszki. Tymczasem jegomość wpakował się bez pozwolenia do naszego mieszkania w czasie nieobecności naszej, a ponieważ nie mamy ochoty budować nowego gniazda bez żadnej potrzeby, więc proszę mi się zaraz wynosić.

— Chętniebym to uczynił — rzekł wróbelek pokornie — wyznaję, że nieprawnie wprowadziłem się do tego gniazdka, ale byłem w bardzo smutnym położeniu, wicher zniszczył moje mieszkanie i sądziłem, że państwo dłużej zabawicie zagranicą. Nie wiem sam, co pocnę teraz, bo biedna moja dziatwa nie umie jeszcze latać.

— Wiesz co, mężulku — odezwała się jaskółeczka samiczka, rozrzewniona widokiem piskląt, skulonych na dnie gniazdka — my możemy jeszcze kilka dni poczekać, niema nic tak nagłego.

Potem zaczęli oboje mówić między sobą jakimś obcym językiem, pewnie po afrykańsku, bo jaskółki w Afryce zimują. Wróbelek tego nie rozumiał, ale domyślił się, że samiczka ułagodziła samca, a gdy jaskółki odleciały, zaświegotał radośnie.

Pisklęta popodnosiły łebki, Jasnotka otwo-

rzyła oczki, które zamknęła była z przestachu, a gdy mateczka powróciła z lizską w dziobku, wszystko czworo zaczęli krzy-
czeć w niebogłosy, rozdziawiając dziobki.

(Dokończenie nastąpi.)

Podróż Adasia i Zosi do gorących krajów.

(Dalszy ciąg.)

Zaledwie zniknął słoń wśród gęstwiny leśnej, gdy dzieci usłyszały nad głowami swemi dziwny jakiś pisk, a spojrzawszy w górę, spostrzegły na gałęziach drzew całą gromadkę dziwnych stworzeń, obrośniętych, brodatych, niezgrabnych. Zwierzęta te miały nogi długie, cienkie ogony, także długie i bardzo zabawnie skakały po drzewach, czepiając się gałęzi.

— Ojczulku, co to takiego? — wołała Zosia.

— Jeszcze nigdy w życiu takich dziwnych zwierząt nie widziałem — mówił znów Adaś.

— To są małpy — odrzekł Ojciec.

— Małpy! — powtórzył Adaś — a ja ich nie poznałem! nieraz przecież widziałem małpki na obrazkach, ale jakieś inne, nie takie brodate.

— Bo małpy bywają bardzo rozmaite — mówił Ojciec — a te, które tu widzicie, są najpospolitsze na Cejlonie.

Indyanie wyobrażają sobie, że te małpki są bardzo mądre, dla tego, że mają takie długie, poważne brody i okazują im takie u-
szanowanie, jak sędziwym ludziom. Tymcza-
sem one wcale nie mają więcej rozumu od
innych zwierząt.

— Ale jak one zabawnie temi nogami swojemi chwytają gałęzie drzew — mówił Adaś, który był bardzo roztropny i uważny — takie długie mają palce, że obejmują zupełnie gałąź, jakby ręką. Tego nawet i kot nie potrafi, on tylko pazurami się trzyma drzewa.

— Bo kot niema rąk — odpowiedział Ojciec.

— Żadne zwierzę nie ma rąk, Tatku — mówiła Zosia — przecież i ta małpka...

— W tém właśnie się mylisz — rzekł Ojciec — bo małpka niema nóg, tylko cztery ręce.

— Co też Tatko mówi! — zawołała Zosia, śmiejąc się — toż ona ma cztery nóżki, jak

wszystkie zwierzęta, co to nawet dla tego nazywają się czworonożne. O, ja to wiem, bo Mamunia uczyła nas historyi naturalnej i tłó-
maczyła różne ciekawe rzeczy, pokazując nam
obrazki.

— To chyba tam małpek nie było na tych obrazkach — rzekł Ojciec — bo one nie należą do zwierząt czworonożnych.

— Ach, Zosiu! — wołał Adaś — ja sobie przypominam teraz; Mama coś takiego mó-
wiła o małpkach; tak, tak, mówiła Mateczka, że one są czwororękie, tylko już nic a nic nie pamiętam, dla czego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Łamigłówka zgłoskowa. (Ludwiś M.)

Z następujących zgłosek: a—der—dy—e—
ter—ga—gip—lau—li—mi—ni—ro—serb—ta—
—tor—za— ułożyć sześć wyrazów: 1. Miesz-
kanie południowej Europy. 2. Rzeka w An-
glii. 3. Kraj w Afryce. 4. Jedna z wysp Ka-
naryjskich. 5. Straszny zwierz. 6. Kraj w Eu-
ropie. Pierwsze litery, od góry do dołu, u-
tworzą imię, końcowe, w tym samym kie-
runku, nazwisko króla polskiego.

Łamigłówka kryształowa.

(Anielci z Welezina.

1. Spółgłoska.
2. Zwierzę.
3. Sprzęt domowy.
4.
5. Przyrząd do roboty kobiecej.
6. Starożytna królowa Teb.
7. Spółgłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery utwo-
rzają imię męskie polskie.

Rozwiązania do Nr. 10-go.

Łamigłówki kryształowej:

C

Ł Z A

K R A T A

S T A R O Ś Ć

C Z A R N O L A S

Z E N O B I A

M E L O N

S A N

S